

## ŻYWIÓŁ WĘDRÓWKI

*Janusz Drzewucki: Dwanaście dni. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013, s. 120.*

Dni spędzone na podróżach i „biały kwiat nieba” – mówiąc wersem z debiutanckiej książki Janusza Drzewuckiego *Ulica Reformacka* (z 1988 roku) – rozkwitający nad głowami strudzonych piechurów opisywanych w zbiorze *Dwanaście dni*. Krajobrazy przesuwające się wraz z każdą stroną, widoki towarzyszące poecie podczas peregrynacji po Warszawie, Krakowie i Wrocławiu, ale także po Belgardzie i Nowym Sadzie, po Bukareszcie i Konstancy, po Budapeszcie i Pécsu. Perype-

tie czyhające na wędrowca w zaułkach przemierzanych duktów, w rejonach, które przyjechało się oswoić. W końcu ślad stopy postawiony na obcej i znanej ziemi jak autograf na karcie tomiku. Nowy tom wierszy autora *Ulicy Reformackiej* i *Podróży na południe* to peregrynarz miejsc, alfabet widoków, poetycka kartka z kolejnych wzruszeń, błysków, zapamiętań. Wiersze wykładają nam swoją relację z wojaży, a obserwacja świata zdaje się priorytetem dla poetyki omawianego tomu.

Zbiór składa się z trzech części, poprzedzonych jednak trzema osobnymi wierszami. Pierwsza – *Wiersze podróżne* to zamyślenia

nad architekturą odwiedzanych miejsc, gdzie miasta przechodzą w miasta. Podążamy szlakami środkowowschodniej Europy, przystając za podmiotem-narratorem przy muzeach, katedrach, wstępując do kościołów, chłonąc nowe ścieżki miejsc, do których się zbliżamy. Jest to również diariusz uniesień, gdyż poeta wędruje przecznicami miast, a jednocześnie porusza się po co bardziej jasnych wewnętrznych stronach. „Słowa układają się swobodnie – raz jeszcze zaciągając dług we wczesnym liryku poety – niczym szeleszczące na wietrze liście”. Kończowa, trzecia część – *Wiersze podzwonne* składa się z elegii pisanych po śmierci przyjaciół związanych z redakcją miesięcznika „Twórczość”: Jerzego Lisowskiego, Henryka Berezy, Mariana Grzeszczaka, Ziemowita Fedeckiego, a także Olimpij Grochowskiej. To dług spleacony pamięci – spleacony wierszem.

Nas interesuje przede wszystkim cykl środkowy, noszący ten sam tytuł, co cały zbiór. Zatapiamy się w żywiole przechadzki, ciągłej wędrówki. Poezja staje się sposobem mówienia o spotykanej rzeczywistości, której wiersze wychodzą naprzeciw. Przesuwają się migawki ze stacji kolejnych postojów. Codziennosc podszyta jest tym, czego znaki tylko z rzadka pobłyskują na świetle. Cieszymy się chwilą, zatrzymujemy ją za poetą w kadrze, baczymy na następujące po sobie liryczne fotografie. Mamy w rękach kronikę dni minionych, czasu odmienionego pamięcią, gdzie faktografia nie przysłania innych smaków, zapachów, faktur. Liryka tego autora nazywa nasze bolączki, mierzy się z codzienną udręką, otwarta jest również na chwilę spełnień, radości. Jest to świat nam bliski, doświadczany w biegu dni, w którym staramy się umościć, jakoś siebie w nim odnaleźć, zobaczyć szyty na naszą miarę wzór transcendencji. „Słowa zaczynają krześć się jedno o drugie – jak pisał Ivo Andrić (przywołany zresztą przez Drzewuckiego w wierszu *Belgrad się nie poddaje*) – oświetlać jakieś widoki, których istnienia dotąd nikt się nie domyślał”. Przed nami dwanaście dni ze swoimi historiami.

*Pierwszy dzień stycznia, czyli pod pięcioma mostami.* Życie nieustannie prze do przodu,

zastawia na nas kolejne widoki, roztacza ciemne chmury, rozrzedza ciężkie powietrze, przynosi pogodę bądź jej przeciwieństwo. Składa się z codziennych spacerów, drobnych zdarzeń, które pracują na nasze życiorysy, dzień po dniu, dzień za dniem. Wciąż więcej i więcej chciałoby się objąć spojrzeniem, pomieścić w pamięci, przynaglić wspomnieniem. Krótko: poszerzać horyzont, być poza i w nim. Nasze dzienne sprawy tkane pieczołowitą pajęczyną egzystencji we wszystkich kątach dziennego i nocnego pokoju:

Nie było zbyt zimno,  
nie wiało, nie padało,  
nie śnieżyło, na Wiśle  
ani jednej zmarszczki,  
tak trzeba płynąć  
przez życie, jak rzeka,  
równo, niewzruszenie  
i nieodwołalnie.

*Trzeci wtorek lutego, czyli ciemność w Warszawie.* Miasto jest niemym świadkiem naszego istnienia, egzystencji, naszych wieczornych eskapad. Mijani ludzie, wystawy sklepowe, kamienice, księgarnie, to nasz chleb powszedni. Czuli na kolejny zakręt losu bądź ulicy, gonimy do siebie, przerzucając pomost każdego dnia między tym, co było, a tym, co będzie:

nie miałem innego  
wyjścia jak tylko  
iść przed siebie,  
prosto na spotkanie  
tego, kim byłem, kim  
jestem, kim będę

*Czwarty czwartek marca, czyli nowe życie.* Opowiadamy sobie nasze troski, znoje, szukamy pocieszenia w czynnościach, których ciągle repetycje uczyniły nas na nie obojętnymi; ale nie tędy droga, trzeba podsycać apetyt, trzeba pracować na swoje, starać się zmieścić w dobie, ułożyć ze świtem i zmierzchem. Jakże często dopada nas bezsenność, dla której ratunkiem może być tylko rzeński poranek. Liczy się wychodzenie z nocy, poskramianie własnych przywar, pracowanie na siebie bez liczenia zysków i strat, zwyczajne przyleganie

do tych wszystkich chwil, których repertuar brzmi znajomo, ale może wkradnie się nowa muzyka sfer, nowe piosenki do odegrania:

Leżałem bez ruchu,  
na wznak z zamkniętymi  
oczami, spokojny, jak nigdy  
spokojny; będę tak leżał  
jeszcze godzinę, dwie, trzy,  
nie słysząc świata za oknem,  
potem wstanę i nic już  
nie będzie takie samo.  
Wróciłem do siebie.

*Druga sobota kwietnia, czyli pod Pałacem Prezydenckim.* Na naszych oczach dzieje się historia – przypomina poeta – świat czeka za oknem, za firaną. Poranek przynosi zapach kawy, aromat początku przysposabia do dalszych kroków, napoczyzna zamiary. Rzeczywistość ma w zanadru dla nas razy, ciosy, których nie da się sparować. Tragedie, o których nie sposób mówić, kiedy głos wędnie, artykulacja szwankuje. Cierpienie jakby schowane za pazuchą. Ratunkiem jest solidarność, wzajemne wsparcie. Wspólne przeżywanie żaloby w kwietniowe dni, jakie okażą się sprawdzianem z bycia częścią rzeczywistości, która na dłuższą chwilę straciła dech – dech zaparła:

mówimy do siebie  
szepciem, jesteśmy razem, my  
wszyscy, w tej godzinie jesteśmy  
razem, jesteśmy razem.

*Pierwszy poniedziałek maja, czyli święto flagi.* Ulica ze swoim gwarem, jej bieg toczący się wokół tak wielu różnych orbit. Wchodzenie w hałas, w jazgot, w rozliczne możliwości zdarzeń, przeniesionych między wiersze. Poeta skupia uwagę: tu parapet z doniczką odcinającą się na tle nieba, tam zapuszczone bramy i dziecięca wrzawa spinającą kłamrą rzeczony kadr. Wreszcie powrót do domu: „Za chwilę / rozkroję chleb, / naleję wina / do szklanki, / za chwilę. / Póki co, / siedzę / w półmroku, / w ciszy, / nieruchomo”.

*Czwarta sobota czerwca, czyli powrót z Kruszwicy.* Koniec czerwca, sobotni wieczór

w Płocku. Pomniki, ratusz, rynek, muzeum, gdzie podążamy gnani ciekawością złapania świata na moment przed jego skokiem w przeszłość. Spokój zakłóca banda młodzików obnosząca się ze swoją impertynencką młodością, skandująca jak tępo kaleczyć można polszczyznę – nieprzyzwoicie bezczelna w czasie, którego wciąż ma na zbyciu. Podmiot Drzewuckiego ma oczy szeroko otwarte.

*Pierwsza niedziela lipca, czyli cisza w Warszawie.* Powracamy za bohaterem wierszy z siola do miasta. Włączymy się trochę trotuarami, rzucamy spojrzeniem to tu, to tam. Wyczekujemy deszczu, rozkładamy znane akcenty od nowa. Przez wiersze przewijają się odgłosy miasta, semantyczne tarcia ciszy o ciszę.

*Piąta niedziela sierpnia, czyli koniec olimpiady:* „W ciszy / i w ciemności, / przy muzyce / przetaczającego się / od zawsze do zawsze / Wielkiego Wozu, / chwaliłem imię / tego, kto zbudził / tę ciemność, / kto nakreślił / ciemniejącą / w ciemnościach / linię lasów, // kto zapalił / po drugiej stronie / jeziora / światło”.

*Pierwsza środa września, czyli dzieci idą do szkoły.* „Spokój, spokój – powiada w ostatnim akapicie Staś w *Brzezynie* Jarosława Iwaszkiewicza – prawie szczęście”. I to zdanie traktuję jako przypis do tego wiersza. Drzewucki mówi tu o życiu, które przelewa się, napełniając pisaną nam czarękę. Zabiera nas na targ, a potem zabiera nas na ścieżkę, która doniesie nas do miejsca naszego ostatniego oddechu. Istotne miejsce w zbiorze zajmują kroki – dużo kroków. Stąd ciągle jesteśmy w drodze.

*Drugi piątek października, czyli dzień w Krakowie.* Dreptanie po śladach przeszłości. Przeglądanie kolejnych kartek z albumu spraw minionych. Zwykle sprawunki. Planowane wizyty. Kolejny dzień bliżej końca.

*Trzeci czwartek listopada, czyli wieczór we Wrocławiu.* Popiół czasu rozdmuchany we Wrocławiu. Te kilka miesięcy sprzed lat, kiedy:

ufałem sobie, swojej  
gwieździe, wierzyłem  
w przyszłość, w czas,  
który idzie w moją

stronę, tak jak ja idę  
w jego stronę.

*Ostatni dzień grudnia, czyli mój Anioł Stróż.*  
Anioł tuż, tuż za mną. Krok w krok. Niemalże  
ramię w ramię. Kocie łby wybrukowane prze-  
znaczeniem, które wciąż, wciąż się dopełnia.  
O tym, przede wszystkim o tym, mówi nam w  
swoim nowym tomie Janusz Drzewucki.

Nieprzebrana jest chwila wiersza – pisał  
Edward Stachura – i moment opadania w sie-

bie. Nieprzebrane są wiersze Janusza Drze-  
wuckiego, z których łuskam jak ze skorupki  
ziarno – głos wiersza. Ta poezja jest formą, w  
której nasza obecność stoi całym światem w  
swoich granicach i jeszcze po trzech kropkach.  
Jest doświadczeniem muzyki przestrzeni, od-  
mierzanej rytmem kolejnych oddechów. Kro-  
nikami z kluczenia. Garściami spojrzeń wy-  
ciągniętych z kieszeni wędrownego plecaka.

*Bartosz Suwiński*